

<https://doi.org/10.26881/rgtn.2025.08>

ZBIGNIEW CYWIŃSKI

Honorowy Profesor Emeritus Politechniki Gdańskiej

COGITO ERGO SUM

Wprowadzenie

Znaną maksymę Kartezjusza (René Descartes, 1596–1650): *Cogito ergo sum* uznałem za najbardziej odpowiednią, by służyła za tytuł moich rozważań wspomnieniowych i egzystencjalnych. Można w nich dostrzec swoiste uogólnienie tych wyrażonych we wcześniejszym artykule (Cywiński, 2024). Uwzględniając perspektywę osiągnięcia wieku 97 lat, w momencie gdy artykuł ten zostanie opublikowany – takie rozważania wypada ocenić jako uzasadnione. Motywacją jest też niewątpliwie obecna niestabilna sytuacja na świecie, w którym przyszło nam dzisiaj żyć.



Il. 1. Myślimy, Kaszuby, 1994
Źródło: Zbiory Autora.

Jeśli się odwróci kolejność słów tytułu, powstaje: „Jestem, więc myślę” (il. 1). Ponieważ wciąż jeszcze jestem, mam różne przemyślenia, którymi pragnę się z czytelnikami podzielić. Mają one osobisty charakter, ponieważ są oparte na własnych doświadczeniach, zatem spisane zostały w pierwszej osobie. Widać też, że z racji mojego zaawansowanego wieku mają one przy tym charakter autobiograficzny – z elementami osobistego *credo* i odpryskami filozoficznymi. Dlatego też w niniejszym artykule powołuję się wyłącznie na własne publikacje.

Patrząc wstecz, widzę przede wszystkim – na tle minionych wieków historii ludzkości – czas niezwykle gwałtownych zmian cywilizacyjnych w każdym przejawie: politycznym, społecznym, ekonomicznym, w kulturze, nauce i technice. Pojawiły się wielkie osiągnięcia w dziedzinie rozszczepienia atomu i eksploracji kosmosu. Niestety, wszystko to było zwykle wynikiem różnych wojen – gorących i zimnych. Szybkiemu rozwojowi materialnemu, często rabunkowemu pod względem eksploatacji naturalnych zasobów, towarzyszyły istotne przeobrażenia w sferze duchowej człowieka, w mojej ocenie – dość negatywne. Wystarczy przyjrzeć się współczesnym przekazom telewizyjnym i posłuchać używanego dziś języka. Wynika to z degradacji zaszczepionych w człowieku wartości – dziś wypieranych z jego duszy przez zło. Działania te wywołały nawet zmiany klimatyczne. Doświadczam ich w sposób bardzo odczuwalny – urodziłem się w Toruniu, gdy 12 lutego 1929 r. panował siarczysty mróz (-30°C), a obecnie w lutym zwykle mamy temperatury dodatnie.

W artykule przedstawiam kilka wybranych wspomnień, które stanowią podstawę analizy porównawczej życia ludzi w czasach mojej młodości i współcześnie, a także okazję do rozważań natury egzystencjalnej.

Początki

Gdy dane mi było pojawić się na świecie – po dramatycznych doświadczeniach I wojny światowej, ale też po pomyślnym zakończeniu starań o utworzenie II Rzeczypospolitej – stał się on w moim otoczeniu, dzięki przykładowemu i ustabilizowanemu życiu moich rodziców oraz wytworzonej przez nich miłej atmosferze w domu, światem spokojnego, dobrze wypełnionego dzieciństwa. Później dowiedziałem się, że poza rodzinną oazą spokoju i bezpieczeństwa oraz postrzegany w niej autorytetami nasz glob nadal był targany różnymi konfliktami i złem pochodzącym z odrzucania ogólnoludzkich praw Dekalogu i dobrych obyczajów – przestrzeganych i uznawanych dotychczas (chociażby intencjonalnie) przez reprezentantów różnych społeczeństw i kultur. Takie mam przynajmniej dzisiaj wrażenie.

W tamtym czasie ludzie bez wątpliwości wiedzieli, czym jest dobro, a czym zło. O prawach człowieka nie mówiono, natomiast o obowiązkach dyskutowano częściej. Te ostatnie uświadamiane były nam, dzieciom, już od wczesnego dzieciństwa. O rzeczniku praw dziecka nikt wówczas nie myślał, bo wyobrażenia ludzi tak daleko nie sięgała. Czy mając go dzisiaj, dzieci są szczęśliwsze? Czy nie jest to smutne, że taki urząd trzeba było w ogóle utworzyć?

Rodzina, w której wyrosłem, w porównaniu ze współczesnymi, miała tradycyjny charakter. Matka po ślubie przestała pracować w poznańskim banku, przejęła funkcję „kapłanki domowego ogniska”. Utrzymanie czteroosobowej rodziny (miałem starszego brata) spadło wyłącznie na barki ojca – zatrudnionego jako inżynier w PKP (z przerwą wojenną). Praca ojca sprawiała, że już przed II wojną światową nasza rodzina musiała dosyć często zmieniać miejsce zamieszkania – z Torunia przenieśliśmy się do Bydgoszczy, potem do Białegostoku, a następnie z powrotem do Torunia. Po wojnie opuściliśmy Toruń i zamieszkaliśmy w Grudziądzu, a na koniec – w 1950 r. w Gdańsku, gdzie w 1953 r. ojciec osiągnął wiek emerytalny. Wówczas rodzice opuścili Gdańsk, a ja rozpocząłem samodzielne życie.

Profesja ojca sprawiała, że mieszkaliśmy tuż przy stacjach kolejowych. Dlatego też miałem bliską styczność z różnymi atrybutami kolei – z mocarnymi parowozami włącznie. Te ostatnie były dla mnie jeszcze jako dziecka – poprzez syk pary, dym z komina, zapach oleju w urządzeniach mechanicznych i pobieranie węgla i wody do tendrów – symbolem siły i możliwości techniki. Najdłużej wychowywałem się nad Wisłą w Toruniu, gdzie zwykle z wielkim zaciekawieniem przypatrywałem się przepływającym statkom, barkom i tratwom w lecie i gwałtownym spływom lodowej kry w zimie – szczególnie w rejonie mostów, gdzie lody rozbijały się o ich potężne, masywne filary.

Po pobycie na Pomorzu – rejonie dobrze rozwiniętym i mającym dobre warunki bytowania – zaadaptowanie się w wieloetnicznym Białymstoku wymagało ode mnie i całej rodziny wielkiego wysiłku pod każdym względem. Szczególnie wiązało się to z moją nauką w szkole powszechnej (dziś – podstawowej), którą w tym mieście rozpocząłem w roku 1935 jako sześciolatek. Stanowiło to dla mnie zupełnie nową sytuację, której różne wyzwania musiałem nauczyć się pokonywać. Nie pamiętam też, żebym był przez kogoś – z wyjątkiem pierwszego dnia nauki – do szkoły prowadzony i z niej odbierany. A piesza wędrówka do niej nie była ani krótka, ani łatwa, bo prowadziła przez dzielnicę przemysłową, dla mnie bardzo niezwykłą i dość obcą. Okazało się, że ten pierwszy egzamin życiowy zdałem pomyślnie.

Inne wyzwania, którym musiałem sprostać, przyniosła II wojna światowa. W roku 1939, w trzecim dniu wojny, uciekając przed napaścią Niemców, z matką i bratem opuściliśmy pociągiem Toruń, aby dotrzeć do Siedlec i wsi Domanice, gdzie po bitwie przeżyliśmy wejście wojsk niemieckich. Zmilitaryzowany ojciec pozostał na kolei do dyspozycji polskiego wojska w Toruniu. Swoistą odyseją była nasza droga powrotna do domu, odbyta do Skierniewic furmankami i pieszo, a następnie różnymi pociągami przez Łódź, aż do domu. Jej ostatnim etapem było przekroczenie Wisły łódką w Toruniu, bo mosty w mieście zostały zniszczone. Powrót ten był bardzo wyczerpujący, ale ten trudny egzamin trzeba nam było zdać; wielkim hartem ducha wykazała się nasza matka, mająca wtedy 37 lat. Te niecodzienne przeżycia były dobrą zaprawą dla wszystkich naszych przyszłych lat wojny.

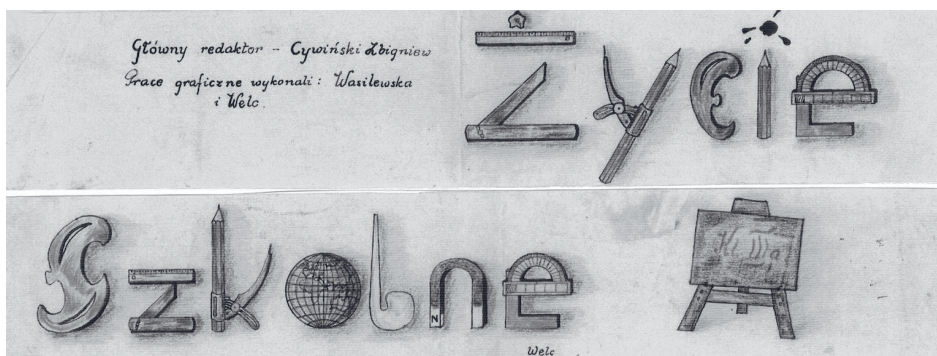
W Toruniu czekał mnie już w listopadzie następny egzamin życiowy. Polskie Pomorze stało się niemieckim Reichsgau Danzig-Westpreussen, wszelkie ślady polskości

zostały usunięte, a ja musiałem pójść do niemieckiej Volksschule, nie znając zupełnie języka. Miałem wtedy 10 lat, więc dość szybko przyswoiłem sobie język niemiecki w podstawowym zakresie. Pół wieku później moja kilkuletnia wnuczka – w o wiele lepszych warunkach, lecz w podobny sposób – musiała się nauczyć w dalekiej Japonii języka japońskiego. Analogiczne spostrzeżenia miałem też podczas mojej pracy w Iraku – nasze dzieci z łatwością nawiązywały kontakty z ich arabskimi rówieśnikami. Dziwią mnie zatem obecne lamenty nad dziećmi imigrantów w Polsce, które muszą uczyć się w polskich szkołach; z pewnością nasz język poznają bardzo szybko.

Wojna nauczyła mnie, że przeciwności losu trzeba umieć pokonywać i rozwiązywać nie tylko samodzielnie, ale też – mądrze i roztropnie. Ta wiedza była mi bardzo pomocna w moim późniejszym dorosłym życiu – w różnych ustrojach politycznych. Nabrałem też pewności, że młodych ludzi nie wolno wychowywać pod kloszem, bo życie wymaga od każdego znacznie więcej.

Dojrzewanie

Po wojnie kontynuowałem naukę w gimnazjum w Toruniu i liceum w Grudziądzu (il. 2). Cenię sobie, że mogłem się uczyć łaciny – podstawy wielu języków europejskich, w tym także tak popularnego dziś języka angielskiego. Podczas nauki w szkole średniej w ramach organizacji „Służba Polsce” musiałem w czasie letnich wakacji podjąć pracę fizyczną przy odgruzowaniu kombinatu chemicznego w Kędzierzynie. W szkole i później na studiach z wielkim zapałem uprawiałem też sport – lekkoatletykę, siatkówkę, koszykówkę i wioślarstwo. Dzisiaj młodzi ludzie wybierają samochody, co odbija się na ich sylwetkach; siłownie naturalnego ruchu nie zastąpią. Maturę uzyskałem w 1949 r.



Il. 2. Gazetka szkolna w Grudziądzu, 1947

Źródło: Zbiory Autora.

Gdy przyszedł czas na studia, za przykładem ojca wybrałem studia techniczne – na Wydziale Inżynierii Lądowej i Wodnej Politechniki Gdańskiej. Odczuwałem też zawsze zamiłowania humanistyczne. Dlatego pracując po studiach naukowo nad teorią konstrukcji inżynierskich i mostów, starałem się o dostrzeganie ich związków z naukami humanistycznymi (Cywiński, 2022). W czasie studiów i po nich byłem szkolony wojskowo, łącznie z odbyciem służby w Zegrzu, Drawsku, Czerwonym Borze, Helu i Gdyni; w tej ostatniej miałem kiedyś okazję pełnić służbę oficera dyżurnego garnizonu miasta. Specjalnie wymieniam moje ówczesne kontakty ze sportem oraz pracę fizyczną i służbę w wojsku, ponieważ uważam, że młody człowiek powinien tego doświadczyć. Z wygodnictwa młodzi ludzie dziś stronią od tych aktywności, a rodzice ich w tym wspierają. Moim zdaniem takie postępowanie nie buduje odporności na przeciwności losowe, co w życiu każdej osoby jest bardzo potrzebne. Dzisiaj zdarza się, że pojawiają się zaburzenia wymagające porad psychologa.

Czuję, że bez tych doświadczeń młodości miałbym później – jako mąż, ojciec i głowa rodziny (szyją bywa żona) – wiele trudności w rozwiązywaniu problemów życia codziennego. Jest to bardzo ważne wtedy, gdy otwierają się nowe życiowe perspektywy i potrzebne jest podjęcie decyzji, czy te wyzwania realizować. W takich przypadkach powinno się ryzykować i wykonać „skok na głęboką wodę” – jeśli nie widzi się zagrożeń moralnych. W moim przypadku wszystkie decyzje dotyczące pracy za granicą – w Iraku, Somalii i Japonii – tego ode mnie wymagały. Co więcej, okazało się to dla mnie i mojej rodziny bardzo pozytywne w skutkach. Zawsze również sam decydowałem o tym, kiedy te zagraniczne kontrakty powinienem zakończyć.

Trwanie

Z chwilą zawarcia małżeństwa rozpoczął się dla mnie i mojej żony Heleny zupełnie nowy etap życia. Nasz ślub odbył się 14 kwietnia 1956 r. w Katedrze Oliwskiej. Miałem wtedy 27 lat, a żona – urodzona 29 maja 1934 r. w Lidzie – niecałe 22. Miała bardzo trudne dzieciństwo, wojna zabrała jej wszystkich najbliższych. Jako wojenna sierota znalazła opiekę u znajomej rodziny, z którą w 1946 r. ewakuowała się do Gdańska.

Przystępując do ślubu, byliśmy zatem oboje stosunkowo młodzi, lecz także – bardzo biedni. Mimo to z dużym optymizmem i wielką nadzieją patrzyliśmy w przyszłość. Zamieszkałem z żoną w jej panieńskim pokoju u „teściów” w górnej Oliwie. Trudne były to czasy – zaczynałem dopiero pracę jako asystent Politechniki Gdańskiej, a żona studiowała jeszcze na Wydziale Budownictwa Wodnego tej uczelni. Niebawem uzyskała dyplom i rozpoczęła pracę w Biurze Projektów Budownictwa Komunalnego w Gdańsku. Po niecałym roku urodziła się pierworodna córka Ewa, a dwa lata później – córka Iwona. Z tego powodu i wobec braku pomocy żona musiała wycofać się z życia zawodowego. Dzisiaj nie mamy pewności, czy ta decyzja była właściwa, ale czwórka naszych dzieci twierdzi zgodnie, że postąpiliśmy słusznie, gdyż miały dobre, rodzinne dzieciństwo i czas do wejścia w dorosłość. One same tego matczynego wzorca już

nie naśladowały – mając swoje dzieci, równocześnie też pracowały zawodowo; może właśnie dlatego czworo dzieci dało nam tylko pięcioro wnucząt. W tym zjawisku widzę też współczesne polskie problemy demograficzne.

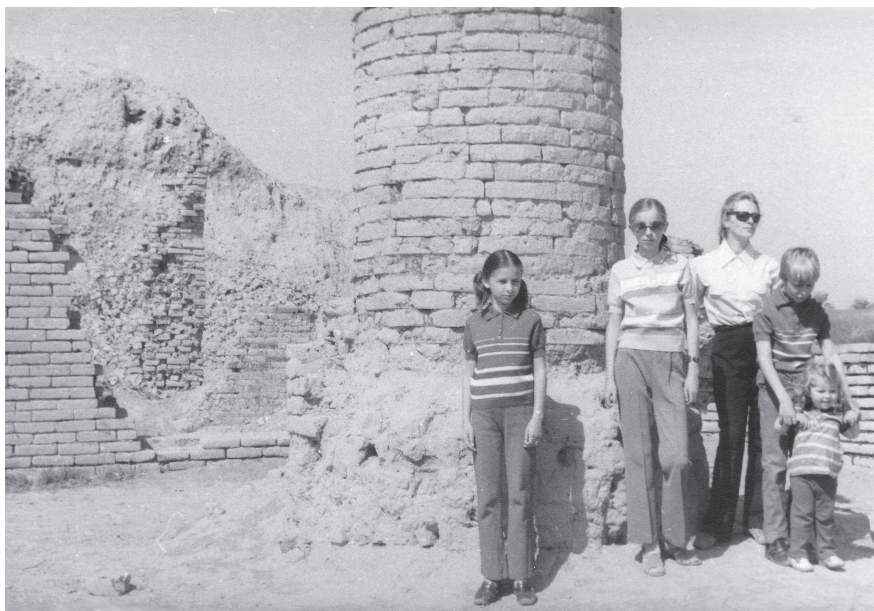
Gdy przyszło nam mieszkać w cztery osoby w pokoju o metrażu 18 m², warunki stały się bardzo ciężkie. Los okazał się łaskawy – jako że dość wcześnie zapisałem się do Nauczycielskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, w 1960 r. otrzymaliśmy trzypokojowe mieszkanie w dolnej Oliwie. Nasza przeprowadzka była bardzo prosta – łóżeczka dzieciinne przenieśliśmy sami, a dzieci pojechały w jednym wózku. Wcześniej zadbaliliśmy o kupno najbardziej potrzebnych mebli, które w nowym miejscu już na nas czekały. W tym mieszkaniu mieszkaliśmy dokładnie pół wieku.

Jedna pensja asystencka na utrzymanie rodziny była zbyt niska. Musiałem zatem podjąć pracę dodatkową – w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej, Biurze Projektów Kolejowych oraz wykonywałem prace zlecone w Zakładzie Mechaniki Budowli PG. Wszystko to nie tworzyło przychylnych warunków do przygotowania rozprawy doktorskiej, niezbędnej w karierze akademickiej. Dzisiaj sam nie wiem, jak udało mi się wszystkim tym wyzwaniom sprostać, gdyż uzyskanie doktoratu wymagało najpierw opanowania bardzo zaawansowanej teorii i narzędzia matematycznego, wykonania nader żmudnych obliczeń (z dziewięcioma cyframi znaczącymi) oraz przeprowadzenia sprawdzających badań modelowych; ery komputeryzacji wtedy jeszcze nie było i wszystko trzeba było robić „na piechotę”. Dodatkowo w 1962 r. urodził się syn Piotr. Dzięki wielkiemu poświęceniu żony – która nie tylko dbała o nasze wyżywienie, ale też potrafiła wszystkim dzieciom zapewnić ubrania, sama szyła i robiła na drutach – udało mi się ukończyć przygotowanie rozprawy. Dyplom doktora inżyniera uzyskałem 11 stycznia 1964 r. Patrząc dziś na generację naszych dzieci i wnucząt, widzimy, że – mając o wiele lepsze warunki życia i rozwoju – wyzwaniom takim chyba nie byłoby w stanie sprostać.

W roku 1965 rozpoczęliśmy nowy etap życia – zostałem zatrudniony na rok na Uniwersytecie Bagdadzkim w Iraku. Pozwoliło to nam ustabilizować się finansowo. Żyłem tam bardzo oszczędnie, co umożliwiło nabycie samochodu, który w Polsce przydał się całej rodzinie. Również dzięki temu doświadczeniu już w 1968 r. uzyskałem stopień doktora habilitowanego. W 1970 r. urodziła się nam trzecia córka Anna, a ja – ponownie zostawiając żonę samą z dziećmi – wyruszyłem samochodem na drugi pobyt w Iraku, do pracy w Uniwersytecie Mosulskim. Porywałem się na wiele, bo długa trasa do Iraku trwała tydzień, wiodła przez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Bułgarię, Turcję i Syrię; na miejscu samochód bardzo się przydał do pracy. Po roku – jako że ze względów politycznych nie miałem w Politechnice Gdańskiej większych perspektyw awansu (ciągle jeszcze byłem adiunktem) – przedłużyłem pobyt do trzech lat (1970–1973).

W 1971 r., po wakacjach w Polsce, tym samym samochodem wyruszyliśmy do Mosulu całą rodziną – my oboje i czworo dzieci (najmłodsza miała rok i cztery miesiące). Nie było wtedy jeszcze współczesnych środków łączności, a także żadnych udogodnień w pielęgnacji małych dzieci, więc w podróży kierowałem się tylko

mapą i wiarą, że znajdziemy jakieś miejsca noclegowe, a żona miała w drodze dużo dodatkowej pracy przy rocznej córce. W Mosulu żyło wtedy wielu Polaków, pracowali przy budowie kopalni siarki, w cukrowni, jako geodeci wytyczający trasy przesyłowe prądu elektrycznego, a wreszcie kilku było zatrudnionych na uniwersytecie. Dlatego w Mosulu była prowadzona polska szkoła i nasza trójka szkolnych dzieci w ciągu pobytu nie miała przerwy w nauce; sam też uczyłem w tej szkole. Podczas pobytu w Mosulu zwiedziliśmy wiele zabytków starożytnego Sumeru, Babilonu i Asyrii (il. 3) oraz odwiedziliśmy miejsca stacjonowania polskich żołnierzy w latach 1942–1943 (Cywiński, 2023).



Il. 3. Ruiny Babilonu, 1972

Źródło: Zbiory Autora.

Latem 1972 r. podróżowaliśmy samochodem z Mosulu przez Bagdad, Damazsek i Bejrut, aby potem znowu przez Syrię, Turcję, Grecję, Włochy, Austrię i Czechosłowację powrócić do Polski. Trzeci i ostatni rok pracy w Mosulu odbyłem samotnie, choć w drodze powrotnej towarzyszyła mi żona, która przybyła do Mosulu krótko przed zakończeniem mojego kontraktu. W drodze powrotnej odebraliśmy w Austrii nowy samochód, który później rodacy mi ukradli. Podróż samochodem do Mosulu lub z powrotem odbyłem wówczas w sumie pięć razy, co dało – wszystkim nam – wiele ważnych doświadczeń życiowych.

Po powrocie do pracy w Politechnice Gdańskiej wreszcie w 1975 r., po siedmiu latach od uzyskania habilitacji, otrzymałem stanowisko docenta, a w 1978 r. – tytuł

i stanowisko profesora nadzwyczajnego; stanowiło to zwieńczenie mojego rozwoju naukowego, udokumentowanego licznymi pracami badawczymi, opublikowanymi w dużej części poza Polską, w językach obcych.

Te osiągnięcia były też „przepustką”, aby ponownie ubiegać się o pracę za granicą. Po długich staraniach udało mi się uzyskać stanowisko eksperta UNESCO – z przydziałem do Ministerstwa Edukacji w Somalii. Miałem okazję poznać wtedy jeden z najbardziej biednych krajów Afryki. Pracowałem w Mogadiszu, stolicy kraju – znowu samotnie – tylko rok 1979–1980. W tym czasie w Polsce powstała „Solidarność” i groziła interwencja ZSRR – musiałem być wówczas w domu. Uzyskane w UNESCO zarobki pozwoliły na zakup „za dolary” dwóch dwupokojowych mieszkań w „wielkiej płycie” na Zaspie dla obu naszych już dorosłych córek – co było naszym głównym ówczesnym zadaniem życiowym.

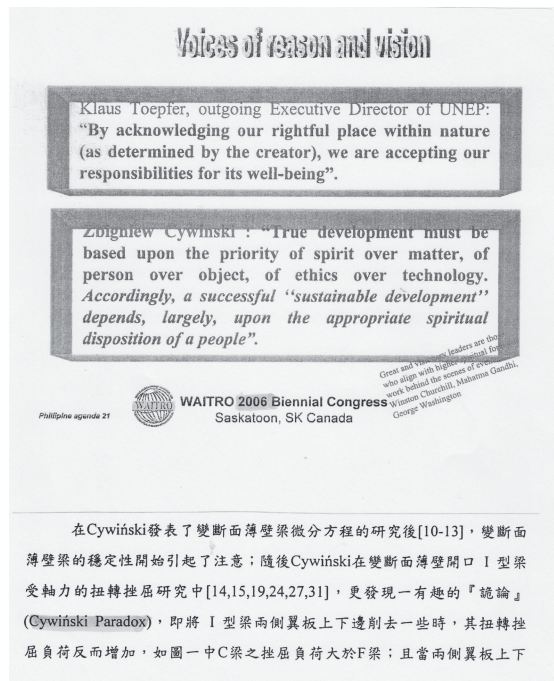


Il. 4. Medal „Niepokorni na Politechnice Gdańskiej 1945–1989”
Źródło: Zbiory Autora.

Niedługo potem nastał stan wojenny. Należałem do „Niepokornych” (il. 4), ale dla dobra rodziny poświęciłem się wtedy głównie pracom badawczym. W ich wyniku otrzymałem zaproszenie Uniwersytetu Tokijskiego, by przez rok wykładać na stanowisku profesora zwyczajnego (1987–1988). Po doświadczeniach w Somalii, Japonia okazała się na przeciwnym biegunie – była jednym z najbardziej rozwiniętych krajów świata. W obu przypadkach potrafiłem się dobrze przystosować do istniejących warunków. Praca w Japonii przyczyniła się do mojego dalszego rozwoju naukowego. Stała się też

dla żony, a później także dla obu starszych córek (z dziećmi) okazją, aby poznać ten kraj. Zarobki pozwoliły też zadbać nam o kawalerki dla syna i najmłodszej z córek. Jeszcze później, w 1995 r., najstarsza córka zdobyła tam doktorat i podjęła pracę naukową i zawodową w różnych instytucjach naukowych i biurach projektowych Japonii.

Ostatnia dekada XX w. była najbardziej aktywnym czasem mojej działalności zawodowej w Politechnice Gdańskiej, ponieważ – oprócz wzmożonej pracy badawczej w kraju i publikowania w zagranicznych wydawnictwach, co wiązało się z udziałem w licznych kongresach i konferencjach naukowych – pełniłem też funkcję dziekana Wydziału Budownictwa Lądowego PG. Pracę tę zakończyłem 31 grudnia 2000 r. – równo z wkroczeniem w trzecie tysiąclecie – przechodząc na emeryturę. Symbolem tego okresu mogą być m.in. moje prace badawcze (Cywiński, 2001a; 2001b), dotyczące wzbogaconego o aspekty duchowe zrównoważonego rozwoju cywilizacyjnego i paradoksu pojawiającego się w dynamice i stateczności konstrukcji cienkościennych. Moje osiągnięcia naukowe weszły do międzynarodowego obiegu naukowego (il. 5). Wypada dodać, że moja uznana na świecie pozycja naukowa odpowiadała wszakże ewangelicznej maksymie *Nemo est propheta in patria sua* (Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju). Na emeryturze nadal intensywnie pracowałem naukowo – dziś liczba moich publikacji wynosi ok. 850.



Il. 5. Echa moich badań na świecie – u góry: Kanada, na dole: Tajwan (Chiny)
Źródło: Zbiory Autora.

Skojarzenia

Zanim przejdę do istoty rzeczy, pragnę podzielić się moim odczuciem, że obserwuję, iż w ciągu mojego długiego życia wielkiej zmiany uległy nie tylko warunki cywilizacyjne, ale zmienił się sam człowiek. Myślę, że dzisiaj zagubiono w dużej mierze zdolność rozróżnienia, czym jest dobro, a czym zło. Moim zdaniem przeciętny człowiek uważa takie oceny za niepotrzebne i mało ważne – żyje według życiowego credo: „szybko, bez wysiłku i bez hamulców moralnych, do pieniędzy i życia w luksusie i lenistwie ciała i ducha”. Temu przekonaniu towarzyszy częste podkreślanie swoich praw i jednocześnie niewypełnianie obowiązków. Zniknął też etos sumiennej, organicznej pracy. Rozpowszechniła się wiara w szybkie kariery, totolotka i kryptowaluty, a pożyczki zaczęły być lekiem na życie ponad stan. Ludzie zapomnieli, że pieniądze nie biorą się z niczego – żeby ktoś bez pracy i wysiłku zyskał, musi ktoś stracić. Równocześnie nastąpił upadek kultury – chamstwo i wulgarny język, obmowa i zawiść, ale też zwykłe wyuzdanie, złodziejstwo, kłamstwo i nienawiść w życiu codziennym, nawet wśród tzw. elit społeczeństwa, włączając polityków i parlamentarzystów. W ich ocenie wszystko to powinno być – *per fas et nefas* – tytułem do „zasłużonej” chwały. W takiej sytuacji nie można się dziwić, że dotychczasowe autorytety uległy dewaluacji. Przykro stwierdzić, że zmiany te dotyczą głównie ludzi w krajach rozwiniętych Zachodu – kiedyś chrześcijańskich; kraje autorytarne tu pomijam.

Te moje konstatacje współbrzmiały z rzymskimi spostrzeżeniami Owidiusza, który w swoich *Metamorfozach* tęsknił do przeszłych wieków – gdy: „nie z bojaźni kary, lecz z własnej chęci człowiek cnoty strzegł i wiary”. Owe słowa *Aurea prima sata est aetas*, czyli – „Złoty był ów pierwszy wiek” pamiętam jeszcze z nauki łaciny w szkole średniej w Grudziądzu.

Po tym wstępie nawiążę do bardzo dziś aktualnego – i mocno egzystencjalnego – problemu przerywania ciąży, który pojawił się również na marginesie naszego osobistego życia. Mimo biedy lat powojennych i otwartych wówczas możliwości aborcji, Polacy cenili dietność. Jednak wraz z poprawą warunków życiowych zaczęły się też zmieniać duchowe odczucia ludzi. Nastąpiła znacząca degradacja ich dotychczasowych poglądów na kwestię wartości i ideałów w życiu człowieka – zaczął się pojawiać argument o osobistej wygodzie. Przerywanie ciąży, zwane eufemistycznie zabiegiem, uważano ze względów ekonomicznych za dopuszczalne, co wpłynęło na zauważalny wzrost skali tego zjawiska. Rósł egoizm jednostek i społeczeństw. Gdy miało się narodzić nasze czwarte dziecko, w świadomości społecznej przerywanie poczętego życia traktowano już za prawie normalne. Odrzucaliśmy takie nastawienie, ponieważ staraliśmy się żyć w zgodzie z Dekalogiem, jak się później okazało – dla wielkiego naszego i całej rodziny dobra. Nasza najmłodsza córeczka powitana została w rodzinie z dużą radością. Była dla nas już w swej dojrzałości znaczną pomocą. Jej właśnie zawdzięczamy, że u progu naszej starości mogliśmy zamieszkać we własnym domu, w pobliżu siedzib trojga naszych dzieci w Osowej. Dzisiaj owa córka wykazuje też bardzo bliskie naszym zainteresowania filozoficzne – patrzy na życie z wielką

odpowiedzialnością. Nasuwa mi się na myśl ewangeliczny cytat: „Wasz Ojciec wie, czego potrzebujecie, wpierw zanim Go poprosicie” (Mt 6, 8).

Następne słowa poświęcam zagadnieniu religii. Niestety, w swej historii była często przyczyną wojen. Gdy pracowałem w Bagdadzie na tamtejszym uniwersytecie i później w Mosulu, Irak – po uzyskaniu niepodległości – cieszył się niemałą wolnością religijną oraz postępem w traktowaniu kobiet. Pod tym względem można się także powołać na cytat Owidiusza o złotym wieku kraju. Stosownym dowodem może być wiele mówiąca ilustracja 6, gdzie pięć osób, w tym cztery przedstawicielki miejscowej społeczności, reprezentuje pięć różnych wyznań. W tym kontekście wypada dodać, że nasze ówczesne podróże samochodem po Bliskim Wschodzie i w Europie były bezpieczne. Niestety, późniejsze napięcia i wojny ten stan rzeczy diametralnie zmieniły.

Mam w pamięci ostatni etap naszej rodzinnej podróży do Mosulu w roku 1971 – gdy w nocy byłem bliski zagubienia drogi, która prowadziła bezdrożami przez pustynię. Mam poczucie, że Ktoś zaplanował wszystkie te zdarzenia i pomógł nam je bez szkody zrealizować. Mimo że był to trudny czas w naszym życiu, obyło się bez porady modnego dziś psychologa. Wypada dodać, że nam, przybyszom z bardzo siemieżnego wtedy kraju, Irak rzeczywiście jawił się jako znajdujący się w złotym wieku, jako swoista Arkadia.



Il. 6. Ze współpracownikami i studentkami na Uniwersytecie Bagdadzkim, 1966. Od lewej: Arabka (islam, szyitka), autor (katolik), Kurdyjka (islam, sunnitka), Żydówka (judaizm), Asyryjka (chaldeizm)
Źródło: Zbiory Autora.

Innego typu przemyslenia wyniosłem, gdy pracowałem w Somalii (1979–1980) i w Japonii (1987–1988). Praca w UNESCO zbliżyła mnie do „wielkich tego świata”, ale – równocześnie – dała sposobność otarcia się o problem ludzkiej biedy, o której współczesnym ludziom Zachodu, w tym także Polakom, nigdy się nie śniło. Dzisiejszy biedny Polak, często korzystający z pomocy państwa, nie ma pojęcia, co znaczy autentyczna bieda. Dlatego trzeba być wyrozumiałym dla ludzi szukających lepszych warunków do życia – jeżeli tylko ich działania nie stają się częścią brudnej polityki.

Innym aspektem mojego somalijskiego pobytu były mrówki, które na pewnym etapie swego rozwoju miały skrzydła i wypełniały pomieszczenia w takich ilościach, że trzeba było je usuwać szuflami. Podobnie uciążliwe, ale – całorocznie – były latające karaluchy, które były dużym utrapieniem przy spożywaniu posiłków. Każdemu groziły różne choroby, także tropikalne. Dla informacji antyszczepionkowców podaję, że moje wyjazdy na Bliski Wschód i do Afryki wymagały wielokrotnych szczepień przeciwko cholercie, tężcowi, tyfusowi, polio i żółtej febrze; na deser czekała malaria, zwalczana profilaktycznie tabletkami.

W Japonii natomiast było dużo ludzi i mało przestrzeni, a życie ułatwiały różne cuda techniki. Trzeba pamiętać, że mój wyjazd nastąpił dobre pół wieku temu, więc obecnie kraj wygląda jeszcze inaczej. Wielką zaletą byli dla mnie ludzie i ich przykładowe obyczaje, a także bogata w tradycje kultura. Przeciętny nasz rodak, przyzwyczajony od lat do „kombinowania” i wszelakiej „falandyzacji”, może mieć kłopoty, aby zwyczajnie te zrozumieć i zachowywać się zgodnie z nimi. W każdym razie „drugiej Japonii” szybko nie osiągniemy, bo mierzona pod każdym względem odległość czasowa może ciągle mieć wymiar co najmniej jednego pokolenia. Warto sobie uświadomić, że Japonia, a dzisiaj także Chiny, Korea i wszystkie pozostałe „tygrysy” Dalekiego Wschodu są wiodące pod wieloma względami. Zaczyna się to u nas dostrzegać, czego dowodem niech będzie znaczek Poczty Polskiej pokazany na ilustracji 7.

Podjęmę jeszcze jedno egzystencjalne zagadnienie dotyczące bardzo dzisiaj aktualnej kwestii wojny i pokoju. W przeszłości ludzie wiecznie walczyli ze sobą, ponieważ ich natura przypomina drapieżniki świata zwierzęcego. Do tej pory prowadzone wojny nie stwarzały jednak globalnego zagrożenia; obecnie jest inaczej. Użycie broni nuklearnej grozi zagładą całej ludzkości. Od roku 1945, gdy po raz pierwszy zostały zastosowane bomby atomowe zrzucone w Hiroszimie i Nagasaki przez Stany Zjednoczone, udawało się temu zagrożeniu skutecznie zapobiegać. Zaciekłość współczesnych militarnych potęg w prowadzeniu polityki zwiększa niebezpieczeństwo użycia broni nuklearnej. Niestety, może o tym decydować nawet czysty przypadek, na co doskonała matematyka (która się nie myli) wyraźnie wskazuje w rachunku prawdopodobieństwa. Tak więc realizacja tego zagrożenia staje się wysoce prawdopodobna. Nie jestem skrajnym pesymistą – opieram się na odwiecznej regule, że każda broń zawsze znajdzie swoją antybroń, jak miecz – tarczę, lub bardziej dosłownie jak torpedowiec – kontrtorpedowiec (dziś – niszczyciel) na morzu. W tej sytuacji można się spodziewać, że niedługo powstaną sposoby anihilacji bomb nuklearnych na odległość i ich użycie nie będzie możliwe; staną się bezużyteczne. Żyjmy zatem tą nadzieją.



Il. 7. Znaczek na Światową Wystawę Filatelistyczną, Gdańsk 1999
Źródło: Zbiory Autora.

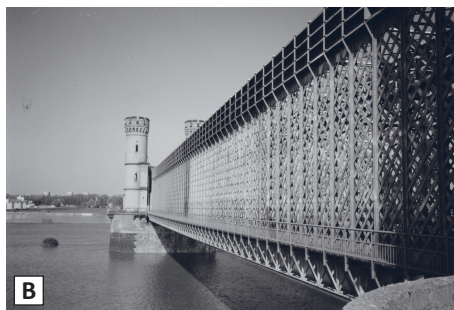
Podsumowanie

Gdy pod koniec swojej 9. Symfonii Ludwig van Beethoven głosi: „O Freude, nicht diese Töne...”, pragnie w ten sposób symfoniczną muzykę instrumentalną uzupełnić głosem człowieka. Odejść więc i ja od schematu i poprowadzę swoje rozważania w nietypowy sposób.

Obserwując dzisiaj świat, dostrzegam jego skomplikowanie, lecz równocześnie – jego prostą, logiczną wymowę. Mam wrażenie, że jest w nim wielkie uporządkowanie i przejawia się intelektualny zamysł. Uznaję też jego piękno i harmonię. Wszystko to jest odbiciem potężnego Umysłu. Człowiek jest zdolny to odkrywać tylko w niewielkim zakresie i nigdy w pełni, zawsze bowiem będą się pojawiać nowe pytania – „im dalej w las, tym więcej drzew” (Cywiński i Kido, 2022).

W szkole uczono nas, a codzienna praktyka to potwierdza, że materia występuje w trzech stanach skupienia – jako ciało stałe, ciecz lub gaz. Dwudziestowieczne osiągnięcia nowoczesnej fizyki i kosmologii sprawiły, że wyodrębniono czwarty stan skupienia materii, jakim jest plazma (materia zjonizowana), a stosunkowo niedawno

(2018) – piąty: tzw. kondensat Bosego-Einsteina, w którym zwalnia światło. Czy na tym sprawa się kończy? Moim zdaniem – nie. Wszystkie wymienione stany – i te jeszcze nieodkryte – mogą być pewnymi szczególnymi postaciami ogólnego, doskonałego stanu skupienia, tkwiącego w pojęciu nieskończoności, może nawet sprzężonego z pierwiastkiem duchowym? Może właśnie materia i duch są dwoma szczególnymi właściwościami czegoś bardzo ogólnego o charakterze „wspólnego mianownika”, regulowanego przez „teorię wszystkiego” – będącą odbiciem doskonałego Absolutu? Tę myśl oddam w postaci dwóch ostatnich fotografii – zamieszczonych wspólnie (8A, B).



Il. 8A, B. Świat widziany okiem inżyniera konstruktora mostów; A. Obraz wnętrza świata; B. Obraz zewnętrzny świata
Źródło: Zbiory Autora.

Świat, w którym żyjemy, jest niczym długie ciemne wnętrze stalowego mostu zamkniętego, zbudowanego z gęstej kraty – jako przykład można podać historyczny most przez Wisłę w Tczewie (il. 8A). Jest on ze wszystkich stron wyraźnie ograniczony, ale są widoczne przebłyski światła ze świata zewnętrznego – jeszcze nieznanego. Ten nieznaną świat może się okazać różnorodny, a zostać poznany dopiero po opuszczeniu wnętrza mostu, czyli naszego wewnętrznego świata. Wyrażam to za pomocą ilustracji 8B, na której widoczna jest panorama tego mostu: jasny blask słońca i nieograniczona przestrzeń, określające dopiero ideowy sens całości konstrukcji świata. Niech ta przyziemna, wzajemnie sprzężona współzależność stanie się odbiciem moich myśli, a zarazem skromnym i prostym zakończeniem dokonanych tu rozważań.

Bibliografia

- Cywiński, Z. (2001a). Current philosophy of sustainability in civil engineering. *Journal of Professional Issues in Engineering and Practice*, 1, 12-16.
- Cywiński, Z. (2001b). History of a „paradox” for thin-walled members with variable, open cross-sections. *International Journal of Structural Stability and Dynamics*, 1, 47-58.
- Cywiński, Z. (2022). Technik w humanistycznym milieu. Kalejdoskop faktów i myśli. *Rocznik Gdański*, 82, 164-185.

- Cywiński, Z. (2023). Osiemdziesiąt lat. Wokół początków Armii Polskiej na Wschodzie. *Rocznik Gdański*, 83, 197–203.
- Cywiński, Z. (2024). *Hominem quaero*. Rozważania o wielokierunkowym obrazie duszy człowieka i natury świata. *Rocznik Gdański*, 84, 219–230.
- Cywiński, Z. i Kido, E.M. (2022). Towards the philosophical meditation on the technical science and the humanities. *Rocznik Gdański*, 82, 52–71.

Streszczenie

W artykule zawarto analizę i pewne podsumowanie wybranych okresów życia autora – naznaczonych charakterystycznymi wyzwaniami i przychylnością zdarzeń, losowych w swej naturze. Autor traktuje je jako nadzwyczajne pod względem przebiegu ich przyczyn i skutków – niczym przez kogoś zaplanowanych. Ta myśl, z założenia zawierająca przekonanie o ingerencji Absolutu, ma widoczny wymiar filozoficzny.

Słowa kluczowe: człowiek, życie, efekty losowe, filozofia

Abstract

Cogito Ergo Sum

The paper contains a concise analysis and a recapitulation of the periods of life selected by the author, each characterised by specific challenges and random events. The author considers them extraordinary in terms of their causes and effects, as though they had been planned by someone. This idea, assumed to be based on the intervention of the Creator, has a visible philosophical dimension.

Key words: man, life, random effects, philosophy